

Od autora: W tekście znajduje się kilka zapożyczeń od innych autorów, umieszczonych tutaj z ich wiedzą. Szczególnie głęboki ukłon w stronę W. oraz J. Dziękuję!

Co widział pajak Patryk (Tajemnica Zacisza)

Obraz, za którym od niedawna mieszkał pajak Patryk, był stary – może nie tak stary, jak świat, gdyż takie stwierdzenie trąciłoby[1] wielką przesadą, lecz niewątpliwie ogromnie stary – i podniszczony jak para kozaków po srogiej zimie. Pajaki lubią urządzać swoje siedziby za obrazami, ponieważ bardzo cenią sobie spokój, co potwierdzić może każdy uczony badacz przyrody. Patryk nie był wyjątkiem od tej reguły, a wręcz jej najlepszym przykładem.

To właśnie w poszukiwaniu spokoju przywędrował do Zacisza. To, co przeżył w poprzednim domu, kiedy wprowadziła się do niego rodzina Szulskich... brrr! Aż trząśnięcie się jeszcze ze wzburzenia na samo wspomnienie tej grozy niczym dobrze odlana i nałożona szczodłą ręką na talerz malinowa galaretka. Irytacji dostarczała trójka młodych ludzkich osobników wieku nieokreślonego, lecz o płucach wyśmienicie wykształconych i często trenowanych. We frustrację wpędzał pies, który za punkt honoru postawił sobie nie pozostawać dzieciom dłużnym w popisach wycia na zawody i dlatego hałasował za całą sforę ratlerków (choć czy posiadał w sobie coś z ratlerka, ciężko było poznać, ponieważ przodków miał najwyraźniej licznych i wielokrotnie zmezaliansowanych[2]). No i jeszcze gospodyni, która nie dość, że również miała tendencje do częstych ćwiczeń wokalnych w wysokich tonacjach, to w dodatku dysponowała całą paletą znacznie paskudniejszych przyzwyczajęń. Kto przyjrzał się jej dokładniej, zauważał wnet, że jej postrzeganie świata było troszkę inne niż u większości ludzi. Zamiast na przykład darzyć uczuciem swojego męża – jak to żonom wszak wedle wszelkich uroczyście składanych i ponadto publicznych deklaracji przystoi – albo przynajmniej udawać, że tak jest, bo i to się wśród ludzi zdarza, ona o wiele bardziej przywiązała się do swojego odkurzacza. Dosłownie, można by rzec. Ta niemoralność pani Szulskiej objawiała się w ten sposób, że okręcona sznurem groźnego urządzenia niczym zaklinaczka groźnych pytonów i boa dusicieli, nie rozstawała się z nim prawie nigdy. Czasami, obserwując ją ze swojej kryjówki za opasłym bojlerem w łazience, Patryk miał wrażenie, że bezlitośnie zasysająca wszystko wokół rura na stałe przyrosła już do jej ramienia.

– Mucha nie siada! – mówiła kilkanaście razy dziennie, rozglądając się z zadowoleniem po świeżo uprzątniętym domu. I rzeczywiście. Brak much ewidentnie dawał się odczuć i gdy Patryk zaczął coraz mocniej zaciskać pasa z powodu nieplanowanej i całkowicie niepotrzebnej mu diety, doszedł do wniosku, że dłużej tak być nie może.

– Albo oni, albo ja! – poinformował stanowczo swoje audytorium, czyli dokładniej mówiąc bojler, wyjątkowo cierpliwy i przyzwyczajony do słuchania różnych, niezbyt profesjonalnych, ale za to entuzjastycznych wystąpień, w tym również długich podprysznicowych arii pana Szulskiego. Bojler znajdował się w wyższych partiach łazienki, tuż pod sufitem i ciężko było za nim sprzątać – co nie znaczy, że gospodyni nie próbowała, wspomagając się drabinką. Na szczęście drabinka, podobnie jak pani Szulska, była niewysoka. Tylko dlatego pajakowi udało się do tej pory uniknąć odkrycia. Ale czarne chmury zbliżały się w szybkim tempie w kierunku wysprzątanej na wysoki połysk łazienki. Pan Szulski otrzymał bowiem bojowe zadanie: już niebawem miał wybrać się do specjalnego sklepu i zakupić ten praktyczny, uzbrojony w szczeble sprzęt o nieco wyższym zawieszeniu, co rokowało rychłym pogorszeniem się już i tak niewesołej sytuacji Patryka i groziło jego nieuchronnym zdemaskowaniem oraz natychmiastową ekstradycją[3].

To była zresztą jawna niesprawiedliwość, zważywszy na to, że pajak mieszkał tu pierwszy, a oni wprowadzili się później, jak poinformował nasz przyjaciel niestrudzony bojler w swojej wzburzonej i pełnej żalu tyradzie[4].

Gospodarze nie odpowiedzieli na to ogłoszone z goryczą ultimatum[5] Patryka, ponieważ go nie usłyszeli. Gdyby rzecz działa się w noc wigilijną, być może stałoby się inaczej, gdyż – jak wszystkim wiadomo – jest to noc odznaczająca się magią oraz wyśmienitą akustyką i dlatego słyszeć wtedy wyraźnie wszystko, co mówią zwierzęta – nieważne, czy czynią to gdacząc, szczekając czy rżąc. Ale ponieważ właśnie rozpoczynał się październik, jeszcze długo by trzeba było czekać na tę atrakcyjną możliwość wzajemnej komunikacji, a czekać Patryk nie miał zamiaru.

Przemyślawszy dokładnie swoją sytuację, rozważywszy wszelkie za i przeciw i jakoś nie mogąc się doliczyć tych ostatnich, Patryk powziął decyzję. Z powagą i godnością, których nie umniejszało wcale to, że jego brzuch podskakiwał wesoło podczas szybkiego truchciku na ośmiu cienkich nogach, zde gustowany pajak opuścił niegościnnie dom. Pod osłoną nocy przebiegł przez ogród, przecisnął się przez szparę w drewnianym ogrodzeniu i tym oto prostym sposobem znalazł się w Zaciszu.

– Tu będzie mi dobrze – ucieszył się.

Zacisze, jak się okazało, było wypełnione obrazami. Przepelnione, mógłby ktoś rzec i nie skłamać. Zdawało się, że postanowiono zasłonić nimi każde, najmniejsze nawet miejsce na ścianach. Od sufitu aż do podłogi nie zobaczylibyście ani jednej niezagospodarowanej luki, co świadczyć mogło albo o znakomitej umiejętności planowania przestrzennego, albo o głębokiej awersji[6] do tapetowania, albo zwyczajnie o dziwactwie, choć i niewykluczone, że o wszystkich tych rzeczach. A może mieszkał tutaj malarz wyjątkowo przywiązany do swoich dzieł? Patryk nie należał do znawców, ponieważ pająki rzadko kiedy specjalizują się w sztukach innych niż tkactwo, i nie potrafił powiedzieć, czy były to dobre obrazy, czy zwykłe kicze[7], ale na ich widok ogarnął go prawdziwy zachwyt. Tyle miejsca do snucia pajęczyn! Rozejrzał się szybko, czy nie zobaczy gdzieś odkurzacza, ale wyglądało na to, że nie trzymano tego wstrętnego urządzenia na widoku, czyli pod ręką, a to już był wielki plus. Może nawet wcale go tu nie używano? Na pewno gdzieś jeszcze istniały porządne domy, których mieszkańcy korzystali z przyjaznych środowisku – i pająkom – mioteł? Kto wie, czy właśnie Zacisze nie było jednym z takich miejsc.

Na powitanie zdesperowanego i ździebko zdyszanego uciekiniera zza obrazów zaraz wyszły inne pająki. Wyglądało na to, że dobrze im się powodzi. Sądząc po ich rozmiarach, na pewno nie musiały zaciskać pasa. I nie wyglądały na przestraszone.

– O, tak – powtórzył wygłodniały Patryk pod nosem, kiwając głową w takt grających marsza kiszek. – Tu mi będzie dobrze.

Miejscowe pająki zaprosiły go na kolację, jako że pora była już dość późna. Wreszcie najadł się do syta i od razu poprawił mu się humor, nadwyrężony mocno ostatnimi traumatycznymi[8] przeżyciami. Rozochocony biesiadą, posunął się do przybliżenia swoim nowym znajomym warunków, w których musiał przebywać, naśladując nawet całkiem dobrze głos krępej gospodyni.

– *Twarożek mi zezarłeś, jelo pie! Mój twarożek! Mój!* Tak wrzeszczała na męża przez pół dnia – opowiadał. – Aż biedak nie wytrzymał i poszedł nocować do samochodu. Wrzeszczała zresztą na wszystkich. Na psa, na dzieci. A dzieci i pies odszczekiwali z powrotem, nie pozostawiali jej dłużni – o nie. Tylko ten

mąż chyba się bał. Niewykluczone, że był już nieodwracalnie uszkodzony, bo słyszałem wyraźnie, że czasami krzyczeli na niego wszyscy razem, a on tylko się uśmiechał. Tak się rodzą wariaci...

Pająki zgodnie kiwały głowami z pełnym zrozumieniem. Nazywanie kogokolwiek “jełopem” nie uważane było w Zaciszu za przejaw dobrego smaku i dotyczyło to nie tylko świata zwierząt, lecz, jak dowiedział się Patryk, również ludzi. Potem pospieszyły zapewniać go o całkowitym braku w tym wielkim i starym domu nie tylko nadgorliwych gospodyń i wszelkiego ubarwienia wariatów, ale i innych przykrości.

– Dzieci tu jest całkiem sporo, ale nie słyszałem jeszcze, żeby któreś z nich szczekało – opowiadał z zadumą, najstarszy spośród nich, pajak o dumnym imieniu Petroniusz. – A dorośli sprzątają, owszem, ale nasze pajęczyny zostawiają w spokoju, o ile nie wpadnie nam do głowy zawiesić je w jakimś przejściu. Bo i to się czasem zdarza, prawda, Pankracy? – spojrzał przy tych słowach na niedużego delikwenta[9] o trochę rozbieganych oczach, co powszechnie uznawane jest za objaw paranoi[10] u ludzi, ale u pajaków prawdopodobnie oznacza czujność.

– Aj, pomyliłem się raz – odburknął zagadnięty. – Myślałem wtedy o niedzieli.

– Trochę za często się zamyślasz. Kiedyś wpakujesz się przez to w prawdziwe kłopoty. Dobrze, że indykiem nie jesteś, bo już byśmy tylko Twoje nogi zbierali z podłogi – zachichotał Prokop, który zawsze tryskał dobrym humorem, a najlepszym wtedy, gdy miał okazję pośmiać się z kogoś innego.

– Psa nie ma – ciągnął Petroniusz nie zważając na ich przekomarzania – a kot nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Twierdzi, że za stary już jest na uganianie się za drobiazgami, które ledwo widzi. Już nie te oczy, powtarza. Poza tym, karmią go dobrze.

– Ale skąd tu aż tyle dzieci? – zapytał Patryk zaniepokojony słowem “sporo”. Czy sporo to więcej niż troje?

– No jak to skąd? Bocian je przywozi – wyjaśnił Prokop ze śmiechem, dziwiąc się, jak w edukacji Patryka mógł zawieruszyć się ten najoczywistszy na świecie fakt.

– Przecież bociany nie przynoszą dzieci. Każdy to wie – obruszył się Patryk, zastanawiając się w duchu, czy aby sobie z niego nie stroją żartów.

– Nie bocian tylko Bocian – poprawił Petroniusz. – Kierowca, pan Jan Bocian. Przywozi je swoim minibusem. Już mamy ich tutaj dziewięćoro. Mieszkają w czterech dużych pokojach na piętrze. Dorośli zajmują parter. Na drugim piętrze natomiast nie mieszka nikt. Jest tam tylko jedno dostępne pomieszczenie, ale służy za graciarnię. Gratów tu, tak jak obrazów, nie brak. Mniej tam za to, zauważ, much, więc my wolimy tę bardziej zamieszkaną część domu, gdzie częściej otwiera się okna.

– Ale jeżeli zależy ci na zachowaniu jako-takiego psychicznego zdrowia, to radzę nie osiedlać się w pokoju, w którym mieszkają bliźniaki – zachichotał Prokop.

– Są głośne?

– Nie, nie... W tym domu się nie krzyczy. Z jakiegoś powodu nawet dzieci o tym wiedzą.

– Bo to nie jest zwyczajny dom... – zaczął Pankracy, ale umilkł natychmiast, kuląc się niczym strachliwa mimoza, nazywana też wstydliwą[11], pod ciężarem ostrzegawczych spojrzeń, rzuconych na niego jednocześnie ze wszystkich stron. Patryk nie zauważył tego dziwnego zachowania swoich nowych przyjaciół, zaaferowany w dalszym ciągu niespotykaną wizją dziewięciorga młodych ludzi, których przywiódł tu, jak i jego, niezbadany los, w ich wypadku przy pomocy środków transportowych pana Bociana.

– A gdzie są rodzice tych dzieci?

– Te konkretne osobniki nie posiadają rodziców – wyjaśnił Prokop. – Jeśli dobrze zrozumieliśmy w ciągu naszego pobytu tutaj, w takich przypadkach młode zbiera się do kupy i umieszcza pod opieką ludzi niepo-błogosławionych własnym przychówkiem, którzy wyrażą chęć zaopiekowania się nimi.

Patryk zadumał się przez chwilę nad tą osobliwością rodzaju ludzkiego, który do tej pory jawił mu się raczej jako pozbawiony tak szlachetnych zachowań. Być może i wy zgodzicie się ze mną, iż zwierzętom, które zetknęły się z niektórymi – mniej przyjemnymi – przedstawicielami naszej rasy, z jakimi i my nie chcielibyśmy się spotkać, a tym bardziej przebywać na co dzień, wypadałoby ten uraz wybaczyć.

– Nie chcę mieszkać z dziećmi – stanowczo zakomunikował wszem i wobec.

– Możesz zamieszkać w pokoju jednego z dorosłych – zaproponowały pająki z Zacisza. – Jest tu ich czworo: trzy siostry, zupełnie do siebie niepodobne ani z wyglądu, ani z usposobienia, z czego jedna zamężna, druga owdowiała, a trzecia wciąż na wydaniu – chociaż według wszelkich założeń i teorii, również jej własnych, zdecydowanie już dla niej na owo nierozsądne i ekstrawaganckie posunięcie za późno. Pierwsza zajmuje się opatrywaniem, szyciem i pocieszaniem, czyli naprawianiem stłuczonych kolan i podartych części odzieży na równi z humorami nadszarpniętymi wskutek takich małych, jak i większych tragedii. Druga namiętnie naprawia sprzęty mechaniczne i pastwi się nad chwastami w ogrodzie, a w wolnych chwilach klóci ze sprzedawcami w okolicznych sklepach, którzy zgodnie żyją w ciągłym przed nią strachu. Trzecia, choć często nieobecna duchem, w chwilach przytomnych podjęła się szlachetnego celu wpojenia młodym umysłom nauk wszelkiego rodzaju i czyni to przy każdej okazji z entuzjazmem godnym podziwu, nie zważając na to, że owe młode umysły część tej samej wiedzy zdobywają w pobliskiej szkole. Tę kolekcję osobliwości uzupełnia wspomniany mąż pierwszej z tych szanownych dam, zazwyczaj przebywający w swoim ulubionym pomieszczeniu, czyli w kuchni. Tam pod jego ręką powstają tak wspaniałe arcydzieła kulinarne, które produkuje z zamiłowaniem, w dodatku bez konieczności używania wykwinnych wiktuałów o cenach nieprzystępnych i zadowolając się najprostszymi składnikami, że w Zaciszu, choćby się uparł, nikt nie ma ani prawa, ani możliwości chodzić głodnym. Pod-słuchano, gdy wyjaśniał kotu, który razem z nim urzęduje w kuchni – trudno się dziwić, bo nasz kocur to łasuch niemożliwy – że cały sekret tkwi w przyprawach, z których najważniejsza to proszek z tajemniczego korzenia o nazwie *o-żeń-się-żeń-i-zmień*[12]. Podejrzewamy, że to jeden z antycznych chińskich wynalazków, ale pewności w tej materii jeszcze nie udało się nam zdobyć.

– A dałoby się znaleźć jakiś pokój bez ludzi? – Patryk, który był z doświadczenia sceptykiem, choć z natury był tylko ośmionogiem, nie dawał za wygraną.

– Drugie piętro! – wykrzyknęły pająki jak jeden mąż. Na co Patryk, prawie zupełnie już zadowolony, zapytał jeszcze tylko o nastawienie mieszkańców do odkurzacza.

– To mądrzy ludzie. Używają tej piekielnej maszyny tylko do podłóg – odpowiedziano mu, rozwiewając

ostatnie z jego wątpliwości.

Pocziwe i gościnne pajaki odprowadziły go aż do samych drzwi jego nowej siedziby, z jakiegoś powodu jednak nie chcąc wchodzić do zagraconego pomieszczenia.

– *Darzmur!* – zakrzyknięto za nim chóralnie i życzliwie, co w języku tych sympatycznych, kosmatych ośmionogów oznacza życzenie powodzenia podczas polowania w czterech ścianach, w przeciwieństwie do podobnego apelu wygłaszanego poza budynkiem – w takim wypadku krzyczy się bowiem *Darzdwór!*[13]

I takim właśnie sposobem Patryk wprowadził się do najmniejszego i najwyżej położonego pokoiku w Zaczyszu, który służył za graciarnię. Zamieszkał, jak wspomniano, za obrazem starym prawie jak świat i żdziebko nadgryzionym krzywym zębem trochę zanadto łakomego czasu.

Pajęczyny można było za obrazem pleść bajeranckie, ponieważ dość mocno odchyłał się on już od ściany z powodu wystającego trochę za bardzo ze ściany gwoźdź, którego nikt porządnie nie wbił. Patryk lubił pleść, więc plótł do woli.

Oczywiście mnóstwo wisiało tu jeszcze innych obrazów, przedstawiających wszystko, co można było sobie wyobrazić, a przynajmniej wszystko to, co niegdyś wyobraził sobie ich niezwykle płodny artystycznie[14] autor, podpisany zamaszystym, entuzjastycznym gryzmołem w rogu każdego z tych wiekopomnych dzieł. Patryk wpatrywał się długo w portrety niezadowolonych z czegoś ludzi, którzy zadawali się odwzajemniać tym samym, dzierżących zakrwawione noże, pęki zardzewiałych kluczy i inne przeróżne i niewytłumaczalne rekwizyty; podziwiał z drżeniem rozległe krajobrazy, przedstawiające skute lodem jeziora, mroczne leśne głusze i oddychające martwą parą bagna; oglądał sceny dzikich i straszliwych bitew i myślał sobie przy tym, że malarz ów musiał być bardzo za życia dręczony jakimiś okropnymi wizjami. Obrazy, które widział na dolnych piętrach domu wydawały mu się bardziej przyjazne. Być może w tym pokoju umieszczono te najstraszniejsze, żeby chmurnych fizjonomii, mrocznych landszaftów[15] i walk z udziałem zajadłych, spoconych uczestników nie widziały dzieci.

Największe wrażenie uczynił na nim obraz srebrzystego, skąpanego w świetle księżyca lasu, będącego bez wątpienia siedzibą upiórów maści wszelakiej, na żywot w nieczystości wiecznej skazanych. Samych duchów widać co prawda na obrazie nie było, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że czały się w pobliżu, gotowe do wychynięcia ze swoich kryjówek w momencie najmniej oczekiwanym przez śmiałka, który odważyłby się nieopatrznie w to miejsce zapuścić. Patryk musiał kilkakrotnie przypominać sobie, że to tylko obraz, kilka plam farby przyklejonej do kawałka materiału i nic poza tym – ale przychodziło mu to z niemałym, wręcz zadziwiającym trudem. Kilka razy zdawało mu się nawet, że w gęstwinie skropionych nocną rosą krzewów coś się rusza. Wreszcie jednak przywołał się do porządku i zajął zakładaniem zmyślnych sieci na muchy, którym – wbrew jego początkowym obawom – doskonale udawało się odnajdywanie tego wzgardzonego przez inne pajaki pokoju poprzez szparę w drewnianym i źle otynkowanym okienku pod sufitem.

– Tak – powtarzał sobie Patryk, starając się nie patrzeć zbyt długo na upiorny obraz. – Tu mi będzie dobrze. Życie bez stresu, to jest to, czego mi brakowało. Wreszcie święty, upragniony spokój.

Jak się jednak już niebawem okazało, spokoju, owszem, miało mu nie zabraknąć – ale tylko przez pierwsze trzy dni.

Trzeciej nocy, a wyrażając się akuraciej: w samym środku trzeciej nocy, w pokoju pająka Patryka ni stąd ni zowąd zabłysło światło. Fakt ten pewnie nie wzbudziłby szczególnych emocji ani w nim samym, ani w nikim innym, gdyby nie to, że nie było tutaj ani jednej lampy, która mogłaby się pokusić o tak zuchwałą wybryk o owej jakże niestosownej porze.

Światelko, najpierw nieśmiałe i niepewne, migotało coraz uporczywiej, jak dzielna świeca opierająca się podmuchom wiatru, aż wreszcie przerodziło się w mocny blask, budząc z uśpienia dziesiątki niespokojnych, szarych cieni, które zaraz rozbiegły się, jakby skore do psot i figli, po całym pomieszczeniu. Zapaliło się za szybą i pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu światła mają to do siebie, że lubią pokazywać się w rozmaitych oknach, gdyby nie to, że to właśnie szczególne okno wcale nie znajdowało się w pokoju, lecz należało do wysokiego, antracytowego[16] pałacu, stojącego w samym środku pięknego parku.

Park ten wraz z pałacem namalowany był na podniszczonym już mocno obrazie – właśnie na tym, za którym kilka dni wcześniej zamieszkał, spragniony wytchnienia od wszelkich wrażeń, pająk Patryk.

– Psiakostka!

To, nadzwyczaj smakowite w pewnych czworonożnych kręgach, przekleństwo zagrzmiało jak głośny wystrzał w całkowitej ciszy pokoju. Wystrzał ten musiałby pewnie pochodzić nie z potężnej armaty, lecz z jakiegoś cienkiego i w dodatku zachrypiałego pistoletu, ponieważ tak właśnie brzmiał głos, należący do ośmielającego się przerywać nocny spokój osobnika.

Patryk, czuwający nad bezpieczeństwem swoich misternie uplecionych sieci, przywarł mocno do nadkruszonej ramy obrazu. Nie śmiał się poruszyć, wcześniej już zaniepokojony światłem, a teraz na dobre wystraszony nagłym dźwiękiem całkowicie nieznanego głosu.

– Salto, nie rzucaj się tak! Nadepnąłeś mi na stopę! I nie skamłaj tak żałośnie, bo krzywda ci się nie dzieje, nikogo nie nabierzesz. Poza tym, zaraz będzie po wszystkim, ty tchórzu.

Drzwi pałacu, przed chwilą tylko troszkę uchylone, zaskrzypiały niemrawo na znak protestu, lecz w końcu, ustępując pod naciskiem kogoś, kto zapewne znajdował się w środku, powoli otwały na oścież. Więcej światła wpadło teraz do pomieszczenia Patryka, rzucając wesoło na zakurzoną podłogę. Pająk potarł jedną nogą jedno oko, drugą drugie, a trzecią i czwartą na wszelki wypadek złapał się za głowę.

– Jakby cię tak kto usłyszał, to chyba bym się całej misy wstydu za ciebie musiała najeść. Nikt by nie uwierzył, że taki mazgaj należy do elitarnej jednostki SPOKO, ku chwale suwerena, miłościwie nam panującego, pilnującego i planującego, sułtana Sam-Sem-Pana, nieprawdaż? Weź się zatem, proszę, w garść, ty pokrako pozszywana i łaskawie rusz ten przerośnięty zadek, bo popychać cię nie mam zamiaru!

Ta osobliwa przemowa motywacyjna wygłoszona została niewątpliwie przez właściciela – a raczej, jak

Patryk się domyślił, właścicielkę – tego samego głosu, który usłyszał kilka chwil wcześniej. Teraz było go słychać znacznie lepiej, co jeszcze bardziej utwierdziło pajaka w przekonaniu, że ma do czynienia z osobą mocno przeziębioną. Poza tym jednak dało się w nim wyczuć nieprzeciętną żywiołowość, a nawet szczerzy entuzjazm, choć także i dość dużą dawkę złośliwości.

Co dziwne, głos ten mimo swoich licznych mankamentów[17], wydał mu się sympatyczny, a takiego wrażenia Patryk nie miewał zbyt często. Odprężył się więc nieco i już bez strachu, a nawet z ciekawością, wpatrywał w obraz, czekając na dalsze wydarzenia. Miał nadzieję, że milczący do tej pory Salto, kimkolwiek by on nie był, zdecyduje się wreszcie na ruszenie zadkiem i pokaże razem ze swoją towarzyszką.

Jego życzenie spełniło się wnet, ale rzeczywistość przeszła wyobrażenia. O ile to wszystko, co się działo, było rzeczywistością, a nie snem. Ponieważ pajaki jednak nie śnią, musimy uwierzyć, że działo się to naprawdę.

– Uff... uff! A-psik! Ty przeklęty, zapchlony grubasie! – Tym niecierpliwym okrzykiem towarzyszył tłumiony, cichy skowyt, a potem rozległo się chaotyczne drapanie, jakby ktoś pastwił się nad podłogą, zapierając pazurami przed niechcianym przemieszczeniem. To musiał być Salto i Patryk domyślił się, że Salto był psem. Chwilę później ciężkie ciało upadło z hukiem na prawdziwą podłogę, należącą już nie do pałacu, lecz do pokoju na drugim piętrze Zacisza. Patryk spojrzał w dół i osłupiał.

O, nie, proszę państwa. To zdecydowanie nie był pies.

– No i co, kudłaty potworze? – z pałacu dobiegł okrzyk triumfu. – Nie było wcale tak źle, prawda? Mogłeś mi wierzyć i mam nadzieję, że zapamiętasz to sobie na przyszłość. Teraz ja. A-psik! A-psik!

Nie minęło kilka sekund i obok Salto zwinnym skokiem wylądowała mała, niepozorna dziewczynka. Patryk, wciąż jeszcze w osłupieniu godnym nieposłusznej żony Lota[18], zbaraniał, rzec by można, doszczętnie.

– Niech mnie muchy biją[19] – mruknął do siebie, przytrzymując się mocniej ramy przedziwnego obrazu, z którego właśnie wyskoczyło dwoje niesamowitych postaci, do jakich nie umywał się żaden z najgroźniejszych nawet portretów w Zacisznej rupieciarni.

Dziewczynka, która na oko nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, wyglądała jak szmaciana lalka, którą ktoś w napadzie złości porozrywał na kawałki, a potem nieudolnie pozszywał z powrotem. Jej twarz przecinały liczne szwy na podobieństwo chaotycznie zagojonych blizn. Lewy kącik jej ust opadał w dół, co sprawiało wrażenie grymasu, zamieszkałego na stałe na jej twarzy. Małe, na czarno podkreślone grubą kredką oczy płonęły czerwonym blaskiem, jakby ktoś zapalił w nich dwie małe świece. Jej nos był wykrzywiony w bok i zaczerwieniony, prawdopodobnie od nieustannego kichania. Miała długie ramiona, okrągły brzuch wystający spod krótkiej, postrzępionej koszulki z napisem SPOKO, wykonanym przy pomocy czarnego flamastra, i chude nogi, z których jedna była krótsza od drugiej, co powodowało, że dziewczynka stojąc przechylała się w bok, przypominając jedną ze słynnych wież w mieście Piza, którą tak bardzo fascynują się turyści[20]. Poza koszulką nosiła jeszcze krótkie spodenki, a stopy miała bosa i mocno zabrudzone. Przez ramię przewiesiła małą torebkę z naszytym grubą nicią nieco koślawym serduszkiem.

Towarzyszająca jej bestia w pełni dorównywała szpetotą dziewczynce. Wilk być może, albo bies piekielny,

któż to mógł odgadnąć? Szare kudły w nieładzie, teraz w dodatku najeżone ze strachu albo ze złości, były pospłatywane i nierówne. Długi, wąski pysk z opadającą dolną wargą najeżony był szeregiem brązowych zębów, spomiędzy których kapą wzburzona, szkarłatna piana. Zwierzę miało długie, zakrzywione pazury, niczym u gryfa lub wiedźmy przed manikiurem, i długi, włochaty ogon, którym wściekle zamiatło kurz zalegający podłogę. Z jego nozdrzy wydobywał się ciemnozielony dym, przesłaniający ślepią – bies musiał co chwila wstrząsać gwałtownie łbem, żeby go rozpędzić i widzieć, co znajdowało się przed nim.

– Cicho, cicho już, kochany Salto – dziewczynka pochyliła się nad potworem i pieszczotliwie pogładziła go po kudłatej głowie. – Już po wszystkim. – I, jakby wstydząc się tego momentu tklivości, dodała gwałtownie swoim zwykłym, ostrym i ociekającym złośliwością głosem – Uspokój się natychmiast, bo zaraz zjawi się tu reszta jednostki. Nie chcesz chyba, żeby Wera nas wyśmiała? I w ogóle, masz szczęście, że przybyliśmy tu jako pierwsi, kundlu!

Salto warknął w odpowiedzi i wypuścił kilka chmurek nosem, ale przestał się jeżyć. Dziewczynka głaskała go jeszcze przez chwilę po grzbiecie, co niestety nie zdołało poprawić wyglądu jego poharatanego futra. Stali tak obok siebie, dwie ułomne karykatury, jakby żywcem wyjęte z jakiejś wyjątkowo mroźnej krwi w żyłach opowieści.

– Nie pyskuj – odwarknęła dziewczynka. – Wera może i nie widzi, pamiętam o tym, nie musisz mi przypominać, ale i tak wszystko wie. Oczywiście, że by nas wyśmiała. Zobaczysz zresztą, jak tylko przybędzie, że nie straciła nic ze swojej przenikliwości. Powinna zaraz tu być... jej Połącznik uruchamiał się zaraz po naszym. O, już nawet widzę światło w jej komnacie!

Rzeczywiście, w pałacu rozblęskło jeszcze jedno okno. A w pokoju zrobiło się znowu odrobinę jaśniej.

Patryk nie mógł już dłużej wytrzymać. Zatupotał wszystkimi nogami i okręcił się trzy razy dookoła – pająki właśnie tak robią, gdy znajdują się pod wpływem ogromnych emocji, żeby się uspokoić. Zaraz po tym zrobiło mu się trochę lepiej, ale – niestety! – udało mu się zwrócić na siebie uwagę niezwykle gości. Zwykły człowiek nawet by go nie usłyszał – ale ta dwójka była najwidoczniej nieludzko spostrzegawcza. Bestia i dziewczynka natychmiast i jak na komendę obrócili się w stronę obrazu i wbili oczy w Patryka. Bies buchnął zielonym oparem i splunął czerwonawą pianą, a ona wyciągnęła przed siebie ręce w szybkim, obronnym odruchu. Jednocześnie coś szczęknięcie i pająk ze zdumieniem zobaczył, że jej paznokcie wysunęły się z palców, zmieniając w długie, metalowe ostrza, skierowane prosto na niego.

– Ocho! A kto tu nas podgląda? Cóż to za szkaradny potwór? – zaśmiała się pozszywana szpetnie panna, cofając ręce. Znow rozległo się krótkie szczęknięcie i groźne paznokcie wróciły do zwykłego, aczkolwiek mocno zaniedbanego stanu.

Salto warknął, ale bez złości, i przysiadł na tylnych łapach, przekrzywiając łeb. Patryk był pewien, że to miało oznaczać naigrawanie się z niego.

– Ha ha! Żartuję, nie obrażaj się, dzielny pogromco much! Obrażanie się w ogóle, jak wiadomo, w niczym nie pomaga. Więcej much łapie się na miód niż na ocet, prawda? Jak masz na imię? – zapytała dziewczynka podchodząc do obrazu. – Ja jestem Salcia. Ach, poczekaj, poczekaj. Przecież nie możesz mi odpowiedzieć bez jęzora-pleciora! Ale nie traćmy ducha... bo chyba mam jakiś przy sobie.

Patryk był przekonany, że nic nie może go już bardziej zadziwić, ale wyglądało na to, że się srodze po-

mylił.

Salcia pogmerała przez chwilę w swojej torebce, pomrukując przy tym ze zniecierpliwieniem, nie mogąc doszukać się tego, czego chciała. W końcu jednak wydała z siebie pisk zadowolenia.

– Mam! Teraz się nie ruszaj, i nie uciekaj... to nie będzie boleć ani szczypać.

Przedmiot, który wydobyła z torebki, zdawał się żyć własnym życiem. Rzeczywiście przypominał język. Z tą niewielką różnicą, że nie był wcale różowy, jak szanującemu się językowi przystoi, lecz brązowy. Giętko poruszał się na dłoni Salci i mizdrzył na wszystkie strony, najwyraźniej bardzo uradowany wolnością i atrakcyjnymi widokami.

– To prawdziwe, genialne cudo – zachwyciła się Salcia pokazując go Patrykowi. – Wynalezione niechęć przez Niechęć. Niechęć to nasz alchemik. Słynie ze spektakularnych wpadek i trzysta osiemdziesiąt trzy razy wysadził już w powietrze swoją pracownię, ale jak mu już coś wyjdzie, to palce lizać!

Jęzor tańczący na jej dłoni natychmiast wyprężył się na te słowa i posłusznie polizał Salcię po palcu wskazującym.

– Nie mnie, jęzorze-pleciorze, tylko jego – Salcia podniosła rękę i przysunęła dłoń z jęzorem do Patryka, który zamarł w oczekiwaniu na najgorsze. Jęzor wygiął się w jego stronę i...

Chliiiiip! Liźnięcie było długie, soczyste i nie pozostawiło na nim ani jednego suchego włoska. Patryk otrząsnął się z niesmakiem. Są na świecie pająki, które lubią wodę, a nawet żyją w jej pobliżu, a nawet pod nią, i nic sobie z tego nie robią[21], ale on był zwierzęciem domowym, proszę państwa, w dodatku wyjątkowo czystym i dbającym o higienę! Co to miało znaczyć? Żadna kąpiel nie była mu potrzebna!

– Spróbuj teraz coś powiedzieć – zaśmiała się beztrząsco Salcia, chowając jęzor z powrotem do torebki, a przy okazji wywalając swój w jego stronę.

I Patryk przemówił. I to jak przemówił!

Głęboki, dudniący bas zagrzmiał, niczym dobrze zapowiadająca się burza, po całym pokoju. Salcia zaklaskała i podskoczyła parę razy, przy czym odczepiło jej się prawe, zbyt luźno przyszyte ucho, a Salto podniósł łeb i zawył Patrykowi do wtóru, gęsto przy tym dymiąc z nosa. Portrety spoglądały na całe to przedstawienie, przestraszone i zniesmaczone.

– Miło cię poznać, Patryczku – Salcia ponownie zanurzyła rękę w torebce, szukając czegoś na samym dnie. – Od niedawna w Zaciszu, prawda? Nie widziałam cię jeszcze.

Wyjęła z torebki małą różową agrałkę i sprawnie zaczepiła ucho na swoim miejscu.

Patryk zadudnił w potwierdzeniu. Wyraził przy okazji obawę, czy jego nowy głos aby nie obudzi domowników.

– Nie, nikt cię nie usłyszy oprócz SPOKO. Działanie jęzora-pleciora jest definitywnie ograniczone do naszej Super Paczki Obrazów Koślawych i Odrzuconych. Acha, i musisz jeszcze wiedzieć, że zaraz się

skończy. Już niestety wysychasz. Możemy cię zrozumieć tylko wtedy, kiedy jesteś mokry.

Patryk zdążył jeszcze tylko zapytać: *Jak to obrazów? Przecież wy nie jesteście obrazami?* Nie uzyskał jednak na to pytanie odpowiedzi. Salcia właśnie otwierała usta, gdy rozległ się stuk, oznajmiający kolejne lądowanie.

Na podłodze pojawiła się kobieta o długich, jasnych włosach, luźno opadających na ramiona. Miała na sobie prześliczną, zwiewną suknię z wysokim kołnierzem, w kolorze świeżej zieleni, misternie haftowaną w kwiaty i ptaki. Jej rękawy były długie i rozszerzały się na dłoniach kobiety. Wyglądała jak księżniczka, boginka albo dama.

Gdy jednak Patryk spojrzał na jej twarz, aż prawie wycofał się za obraz. Gładka, młodzieńcza cera, ozdobiona malutkimi usteczkami i zgrabnym noskiem... brakowało jej tylko oczu. Zamiast nich w twarzy nowoprzybyłej znajdowały się dwie głębokie, czarne dziury!

Salcia obróciła się do niej i powitała jakby nigdy nic.

– Wera, nareszcie. Coś długo ci to zeszło!

– Nie *śpierzchałam*, Salciu – odpowiedziała Wera melodyjnym, wdzięcznym głosem.

– Nie co? – Salcia gwałtownie zamrużyła oczami.

– Nie *śpierzchałam*. Czyli nie śpieszyłam na nic i nie pierzchałam przed niczym – wyjaśniła boginka z godnością, prostując się i delikatnym ruchem poprawiając włosy.

Salcia westchnęła.

– Patryczku, to jest Prima Wera. Królowa Wiosny, namalowana niegdyś przez sławnego malarza i pozbawiona oczu przez zazdrosną oblubienicę tegoż utalentowanego pana. Jej portret był tak cudowny, że tamta nie mogła znieść jego widoku i musiała go oszpecić... I w taki oto sposób piękna Prima Wera znalazła się w SPOKO razem z nami.

– Patyczek? Gdzie? – zaciekawiała się Wera.

– Patryczek, Prima Wero! Nie bierz tego do siebie, Patryczku, ona nie jest złośliwa, ale ma czasem problemy z wyrazami. Uciekają jej literki, albo nagle nie wiadomo skąd pojawiają się nowe tam, gdzie nie powinno ich być.

– Wszystko, co mówię, ma sens – obruszyła się Prima Wera. – Odczep się od moich literek. Żadne mi nie uciekają i nie wyciekają. Wszystkie mieszczą się tam, gdzie ich miejsce. Może nie na pierwszy rzut, czy też łypnięcie oka, ale zazwyczaj wystarczy się tylko trochę nad nimi zastanowić, a wtedy można wszystko *wyhypać*... czyli spostrzec i wyłapać.

– Niestety, kochana, często tylko Ty ten sens rozumiesz – westchnęła Salcia. – Utrapienie z nią, mówię ci – zwróciła się znowu do Patryka. – Ciągłe każe się nam zastanawiać. Czasem są takie dziwne momenty, kiedy gada niepełnymi zdaniami i wtedy mam wrażenie, jakby mówiła do nas szyfrem.

– Nie szyfrem, tylko liryką.

– Tak, wiem. To są twoje *wysublimowane*[22] *POEZJE*. Bardziej mi to przypomina *herezje*.

– Raczej *finezje*, moja droga Salciu. Ech, ta ignorancja młodych... może Wasze dzieci mnie docenią. – Prima Wera zadumała się nad smutnym faktem niezrozumienia prawdziwych poetów przez współczesnych odbiorców.[23]

– Ona jest z siedemnastego wieku – poinformowała Salcia Patryka teatralnym szeptem. Znów powróciła w jej głosie złośliwa nutka. – Jeśli do tej pory nikt jej nie zrozumiał, to i teraz marne są na to szanse.

– Polemizowałabym[24], ale nie chcę się kłócić. A teraz popatrz uważnie na Patyczka. Spójrz, jakie ma cienkie nóżki. Czy nie przypomina ci choć trochę szarego patyczaka[25]? – A potem obróciła się do pająka. – Dziwisz się, jak to się dzieje, że wszystko widzę, choć nie mam oczu?

Patryk, całkowicie już suchy i w związku z tym niemy, pokiwał tylko energicznie głową.

– To proste. Oczyma duszy widać niejednokrotnie więcej, niż w zwykły sposób. Ale do tego trzeba mieć w sobie choćby odrobinę wrażliwości. Dlatego nasza gruboskórna Salcia miewa z tym problemy.

– Phi! – dziewczynka wyduła wargi, a czerwone ogniki w jej oczach zaświeciły się niebezpiecznie. – Namalowano mnie na najciemniejszym płótnie... w przeciwieństwie do niektórych tutaj obecnych. Kto z nas ma grubą skórę, ten ma, ale ja tym kimś na pewno nie jestem!

– Niedorzeczne zarzekanie jest jak dorzecze wyrzeczeń. Zatracisz się, gdy odtrącisz strach[26] – Prima Wera zachichotała szelmowsko i posłała jej ręką delikatny pocałunek.

– I próbuj ją tu zrozumieć, człeczko... – westchnęła Salcia z udawaną rozpaczą. Patryk zauważył jednak, że gdy Wera odwróciła się, dziewczynka popatrzyła na nią z czułością.

W tej chwili pałacowe drzwi zaskrzypiały gwałtownie i rozległ się huk, jakby ktoś uderzył ich skrzydłami o ściany. Kolejny huk... i na podłogę upadł z głośnym, przeciągłym jękiem niewielki, przygrubawy jegość.

– Oj, wybaczcie. To niechący – wystękał, usiłując się podnieść. Salcia i Wera pospieszyły mu z pomocą.

– Jakże by inaczej, Gabrielu – zaśmiała się Salcia, a Wera pogładziła go po policzku.

Stwierdzić, że człowieczek ów był dziwny, a nawet osobliwy, byłoby zdecydowaną niesprawiedliwością pod jego adresem. Przecudaczny – o! To już pasowało do niego trochę lepiej.

Przesadzać musiał on lubić nade wszystko. Nie wystarczył mu jeden garb, lecz wzorem baktrianów[27] z dalekiej Azji, miał ich dwa. Nie zadowolili się jedną parą skrzydeł – spomiędzy garbów na plecach wyrastały mu aż trzy pary. Twarz miał ludzką, ale za to uszy nietoperze, sterczące i czujne. Na głowie dodatkowo pyszniły się zakręcone jak u kozła rogi. Odziany był ten zlepek fauny[28] wszelakiej w szeroką, luźną opończę[29] z licznymi kieszeniami, z których wystawały przedmioty niewiadomego pochodzenia i przeznaczenia.

Salcia klasnęła w dłonie.

– No, to jesteśmy w komplecie. Cały oddział SPOKO na miejscu i w pełnej gotowości!

– Ojej, ojej, ojej! – wykrzyknął alchemik Gabriel Niechcący, bo był to on we własnej osobie. – Czyli możemy już zaczynać?

– Czas najwyższy. Gdy na spotkanie przybędzie sułtan Sam-Sem-Pan, chwała jego imieniu, przejście z Niewydarzeniowa do chaty mistrza Bazyla powinno być już dawno otwarte – odpowiedziała Salcia, poważniejąc. Wera pokiwała melancholijnie głową, a Salto zawarczał na znak zgody.

Gabriel wyciągnął zza pazuchy opończy drewnianą łyżkę, taką samą, jakiej używa się do obsługi telefonowych patelni, a z kieszeni wydobył po kolei seledynową, błękitną i żółtą flaszeczkę. Seledynową stłukł prawie natychmiast, a zawartość żółtej wylał Werze na nogi.

– To niechcący – mruknął. – Ale i nie szkodzi. Co ma dymić, nie odpłynie.[30]

Po czym odłożył łyżkę, prawie wsadzając ją Salto w oko i odkorkował błękitną miksturę. Pokropił nią podłogę i stopą rozmieszał wszystkie trzy płyny, które w reakcji natychmiast zaczęły wydzielać biały dym pachnący wanilią. Gabriel pochylił się i nabrał mikstury na palec wskazujący lewej ręki.

– Na pohybel[31]... za Niewydarzeniowo! – wykrzyknął i zbliżył się do ściany, na której wisiał między innymi fascynujący Patryka od trzech dni obraz srebrnego lasu duchów. Właśnie ten obraz Gabriel posmarował roztworem trzech zmieszanych ze sobą kolorowych płynów.

– Zakłęcie, pamiętaj o zakłęciu! – przypomniała Wera.

– O, tak. Zakłęcie Niechcianego Poety. Prawie bym zapomniał – dzięki ci, Prima Wero!

– Patryku, nie próbowaliśmy tego jeszcze, ale lepiej będzie, jeśli się odsuniesz. Nam nic się nie stanie, ale ty jesteś żywy... w ogóle najlepiej się schowaj – szepnęła Salcia do pająka.

Nie trzeba było mu dwa razy tego powtarzać. Podreptał jak umiał najszybciej za swój obraz.

Zdażył w samą porę. Gdy chował się w swoją pajęczynę, członkowie jednostki specjalnej SPOKO zaczęli już wymawiać zakłęcie. Cały pokój wypełniała teraz słodko pachnąca mgła, już nie biała, lecz srebrna. Na wszelki wypadek zamknął oczy.

*W czarnym sercu leśnej głuszy
czasem drzewem coś poruszy...*

BUM!

*jęknie, skrzypnie i zachrzęści,
świśnie, trzaśnie, zaszeleści...*

BUM!

*krwi utoczy ostrym zębem
ciemną nocą na porębie...*

BUM! BUM!

*kupkę kości zagrzechocze,
i skrzydłami załopocze...*

BUM! TRACH! BUM!

*Czasem wrzaśnie, robiąc zeza:
„Obcych nam tu nie potrzeba!”*

ZGRZYT! BUM!

*i strasznego fiknie kozła,
tak, że straszniej już nie można... **

BUMBADABUMMMMMMM!!!!

A potem wszystko się zatrzęsło, coś błysnęło, coś mignęło i Patryk poczuł, że srebrny dym szybko się rozplywa.

Kiedy jakiś czas później odważył wychylić się ze swojej kryjówki, pokój znowu był całkiem pusty. Ani po otwartych wrotach pałacu, ani po oświetlonych komnatach, ani po rozlanych na podłodze płynach nie pozostał żaden, najmniejszy nawet ślad. Wraz z powrotem pokoju Patryka do normalności jak kamfora zniknęli również jego niezwykli goście.

Tylko obraz na przeciwległej ścianie zmienił się nieznacznie. W samym środku przerażającego srebrzystego lasu stała teraz niewielka, drewniana chata. A w jej oknach tańczyły upiorne, szkarłatne światła.

[1] trącić czymś – charakteryzować się czymś, a dosłownie: mieć nieprzyjemny zapach

[2] mezalians – tutaj: związek z psem odmiennej rasy

[3] ekstradycja – wydalenie kogoś z miejsca, w którym nie ma on prawa przebywać

[4] tyrada – długie, często nudne, przemówienie

[5] ultimatum – warunek postawiony komuś, często z towarzyszącą mu groźbą

[6] awersja – niechęć

[7] kicz – tutaj: obraz bez wielkich lub żadnych walorów artystycznych; bohomaz; tandeta

[8] traumatyczny – wstrząsający, przykry, szokujący

[9] delikwent – tutaj: ktoś, kto dopuścił się jakiegoś występku

[10] paranoja – obłąd

[11] mimoza wstydliva – roślina, która zamyka liście pod dotykiem; przenośnie – osoba czuła, wrażliwa

- [12] zabawa ze słowem *żeńszeń* (korzeń pochodzący z Chin, z którego wytwarza się proszek stosowany w lekach i kosmetykach)
- [13] zabawa ze słowem *darzbór* (okrzyk, którym myśliwi życzą sobie powodzenia w polowaniu)
- [14] płodny artystycznie – bardzo twórczy; twórca bardzo wielu dzieł
- [15] landszaft – krajobraz
- [16] kolor antracytowy – bardzo ciemny szary, prawie czarny kolor
- [17] mankament – wada
- [18] żona biblijnego Lota została zamieniona w słup soli na wskutek nieposłuszeństwa wobec boskiego nakazu
- [19] zabawa z powiedzeniem *Niech mnie kule biją!*
- [20] Krzywa Wieża znajduje się w mieście Piza we Włoszech
- [21] na przykład sprytny polski pajak topik, który oddycha pod wodą przy pomocy baniek powietrza, przymocowanych do swojego odwłoka
- [22] wysublimowany – wzniosły; o wysokim poziomie artystycznym
- [23] Prima Wera, choć pochodzi z siedemnastego wieku, jest współczesną poetką, w dodatku bardzo dobrą. Uwielbia bawić się słowami i odnajdywać ich nowe lub ukryte znaczenia, a nierzadko i połączenia. Salcia, która nie zna się zbyt dobrze na poezji, często ma problemy ze zrozumieniem Wery.
- [24] polemizować – dyskutować
- [25] patyczak – owad przypominający patyk albo gałązkę
- [26] Być może jest to fragment wiersza Wery albo zabawa słowami, które mają podobnie brzmiący człon
- [27] baktrian – wielbłąd dwugarbny
- [28] fauna – królestwo zwierząt
- [29] opończa – płaszcz z kapturem
- [30] zabawa z powiedzeniem *Co ma wisieć, nie utonie*
- [31] na pohybel – na zgubę, na zatracenie, na nieszczęście

* [link](#)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Alen Dagam, dodano 06.03.2018 22:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.